Aleksander SOŁŻENICYN

NIE ZAPOMNIEĆ DOTKLIWEJ LEKCJI DWUDZIESTEGO WIEKU*

Samoograniczenie jest podstawowym i najmądrzejszym krokiem człowieka, który stał się panem swej wolności. Jest ono również najpewniejszym sposobem jej odzyskania. Nie wolno nam biernie czekać, aż zewnętrzne wydarzenia wpłyną na nasze działanie lub wprost zdeterminują je.

Wasze Książęce Wysokości, Magnificencjo,
Panie i Panowie!

Za każdym razem, gdy przybywam do Księstwa Liechtenstein, ze wzruszeniem wspominam niezwykłą lekcję odwagi, którą ten niewielki kraj i jego czcigodny Książę, niedawno zmarły Franciszek Józef II, zademonstrowali światu w 1945 roku. Kraj ten, nie dając się zastraszyć potężnemu zagrożeniu ze strony sowieckiej machiny militarnej, nie zawahał się udzielić schronienia oddziałowi rosyjskich antykomunistów szukających azylu przed tyranią Stalina.

Przykład ten jest tym bardziej pouczający, że w tym samym czasie wielkie demokratyczne potęgi, sygnatariusze Karty Atlantyckiej z jej płomienną obietnicą wolności dla wszystkich prześladowanych na tej ziemi, chcąc wkraść się w łaski zwycięskiego Stalina, bez słowa sprzeciwu oddały mu w niewolę całą Europę Wschodnią i wydaliły ze swojego terytorium setki tysięcy obywateli sowieckich, wbrew ich wyraźnie zadeklarowanej woli, nie zwracając uwagi na samobójstwa wielu zrozpaczonych ludzi, które były ich reakcją na tę decyzję. Przy użyciu brutalnej przemocy ludzie ci zostali dosłownie wepchnięci bagnetami w zasięg morderczej władzy Stalina i poprowadzeni ku męczarniom łagrów i śmierci. Uznano za sprawiedliwy fakt, że miliony ludzi, którzy oddawali swe życie za wspólnie z Zachodem odniesione zwycięstwo, sami nie mają prawa do wolności. (Jest rzeczą zadziwiającą, że wolna prasa zachodnia pomagała ukrywać tę zbrodnię przez dwadzieścia pięć lat. Nikt nigdy – ani w tamtych czasach, ani też później – nie nazwał owych brytyjskich oraz amerykańskich

---

* Przemówienie Laureata. Tytuł pochodzi od redakcji „Ethosu". Tekst przemówienia drukujemy za zgodą Autora, wyrażoną listem pana C. Duranda, „représentant littéraire" A. Sołżenicyna, z 1 XII 1993 roku. (Przyp. red.)

generałów i wyższych urzędników z racji ich czynów z b r o d n i a r z a - m i w o j e n n y m i, a tym bardziej nikt nie postawił ich przed sądem).

POLITYKA I ETYKA

Porównanie bohaterskiego czynu niewielkiego Liechtensteinu z aktem zdrady w najwyższych kręgach Wielkich Mocarstw prowadzi nas wprost do pytania: jaka jest rola oraz uzasadniony i konieczny udział moralności w polityce?

Już Erazm z Rotterdamu uznawał politykę za kategorię etyczną i nawoływał, by odzwierciedlała ona moralne przekonania. Lecz był to oczywiście dopiero wiek XVI.

Potem jednak nadeszło Oświecenie i na przełomie XVII i XVIII stulecia dowiedzieliśmy się od Johna Locke'a, iż rzeczą nie do pomyślenia jest stosowanie moralnych kryteriów w stosunku do państwa i jego działań. Politycy, którzy w historii już i tak nader często okazywali swobodę wobec ciężaru moralnych skrupułów, zyskali w ten sposób swoiste teoretyczne uzasadnienie swojej postawy. Motywacje moralne były wśród mężów stanu zawsze słabsze niż motywacje polityczne, lecz w naszych czasach konsekwencje podejmowanych przez nich decyzji stają się wyjątkowo ważkie.

Naturalnie kryteria moralne stosowane wobec postępowania pojedynczych ludzi, rodzin oraz małych wspólnot nie mogą być mechanicznie przenoszone na zasady działania państw i polityków. Nie ma tu całkowitej adekwatności, gdyż skala, siła działania oraz zadania struktur państwowych wnoszą z sobą pewien stopień ich deformacji. Jednakże państwami rządzą politycy, którzy są zwykłymi ludźmi, a ich działania mają wpływ na życie innych zwykłych ludzi.

Co więcej, chwiejność postępowania na płaszczyźnie politycznej nie może być uznawana za jeden z imperatywów działania państwa. Tym samym wiele z moralnych wymogów stawianych przez nas poszczególnym ludziom (wymagania takie, jak rozróżnienie między uczciwością a podłością i kłamstwem, między wielkodusznością i dobrem a chciwością i złodziejstwem) muszą w znacznej mierze odnosić się do polityki państw, rządów, parlamentów i partii politycznych.

Istotnie, jeśli państwo, partia i polityka społeczna nie będą budowane na fundamencie moralności, nie sposób mówić o przyszłości człowieka. Równie prawdziwe jest też twierdzenie odwrotne: jeśli polityką państwa, jak i postępowaniem człowieka kieruje moralna busola, to w szerszym wymiarze jest to nie tylko w pełni ludzkie, lecz również najbardziej roztropne dla samej przyszłości człowieka.

W narodzie rosyjskim taka świadomość ideału, wyrażanego słowami: „prawda" czy „żyć w prawdzie", nigdy nie uległa zatarciu. Jeszcze pod koniec XIX wieku rosyjski filozof Władimir Sołowiow z całą mocą głosił, że z chrześcijań-

skiego punktu widzenia działanie moralne oraz aktywność polityczna są ściśle z sobą związane; że działalność polityczna nie może być niczym innym, jak tylko służbą moralną, a sama polityka uwzględniająca wyłącznie własne interesy pozbawiona jest jakichkolwiek chrześcijańskich wartości.

Niestety dziś w mojej ojczyźnie te wykładniki zostały zatracone w jeszcze większym stopniu niż na Zachodzie. Dostrzegam tu pewną „bezbronność" mojego w tym względzie stanowiska. Tam, gdzie wcześniej był ZSRR, dziś, po siedemdziesięciu latach niesłychanego ucisku oraz wobec wszechogarniającej nędzy, powszechna wolność często nie kontrolowanych poczynań popchnęła wielu na niegodziwą drogę odrzucenia najbardziej podstawowych zasad życia. Przez siedemdziesiąt lat w naszym kraju nie niszczono ot tak, po prostu wszystkich, ale właśnie tych, którzy w swoim postępowaniu kierowali się racjami rozumnymi i moralnymi. Dlatego też obraz Rosji jest tym bardziej ponury i zatrważający, że nie zależy wyłącznie od ogólnych słabości naszej natury.

Nie licytujmy się jednak stopniem biedy w różnych krajach i narodach: przy końcu drugiego tysiąclecia chrześcijaństwa jest ona bowiem wszechobecna. A przede wszystkim: czy możemy szafować słowem „moralność"?

TESTAMENT BENTHAMA

Wiek XVIII pozostawił nam swoisty testament Jeremiasza Benthama: moralne jest to, co podoba się większości; człowiek nie może żądać niczego innego poza tym, co służy jego zwyczajnemu funkcjonowaniu. Oto cenna i jakże wygodna rada – i z jaką gotowością została podchwycona przez cywilizowaną ludzkość! W kontaktach zawodowych zapanowała zimna kalkulacja – stała się nawet powszechnie uznawaną normą postępowania. Uważa się za niedopuszczalne ustąpienie w czymkolwiek na rzecz konkurenta czy przeciwnika – jeśli tylko ma się uznaną pozycję, siłę lub bogactwo. Ostateczną miarą interpretacji każdego wydarzenia, działania czy zamierzenia stał się czysty legalizm. Chociaż zostało to pomyślane jako zapora postawiona postępowaniu niemoralnemu i często tak właśnie funkcjonuje, to jednak otwiera kolejne furtki w formie „legalnego realizmu".

Wypada się tylko cieszyć, że tej legalistycznej hipnozie sprzeciwia się jeszcze zdrowa natura ludzka, nie dając się wprowadzić w duchowy letarg i apatię wobec cudzych nieszczęść. Wielu zamożnych ludzi Zachodu ciepłem i serdecznością, pomocą materialną i finansową, a także bardzo często ogromnym osobistym zaangażowaniem żywo odpowiada na ludzkie cierpienia.

NIEOGRANICZONY POSTĘP

Wiedza człowieka, tak jak i jego zdolności, nie mogą pozostawać nie doskonalone, nie mogą się zatrzymywać i nie mogą być powstrzymane. Od XVIII wieku praces ten uległ przyspieszeniu, będąc coraz bardziej zauważalnym. Anne-Robert Turgot nadał mu górnolotne miano postępu, uznając, że ten właśnie Postęp, rozumiany jako rozwój ekonomiczny, w niepodważalny i nieunikniony sposób prowadzi do złagodzenia obyczajów.

Takie wyartykułowanie wprost tego poglądu zaczęło się przyjmować szeroko, by w końcu przybrać formę wszechobecnej niemal filozofii: r o z w i - j a j m y s i ę! Człowiek wykształcony nader chętnie uwierzył w taki Postęp. Nikt jednak nie pytał: Postęp? No, dobrze, ale właściwie w c z y m? Czy przypadkiem nie grozi nam w trakcie tego postępu zagubienie czegoś? Z góry entuzjastycznie przyjęto, że Postęp obejmie całą rzeczywistość i całą ludzkość bez wyjątku. Z tej właśnie optymistycznej wizji K. Marks wyprowadził tezę, że historia doprowadzi nas do sprawiedliwości bez pomocy Boga.

Minęły lata i okazało się, że Postęp, owszem, postępuje, a nawet przechodzi najśmielsze oczekiwania, ale tylko w dziedzinie technologii (osobliwie zaś w poprawie warunków życia oraz nowinkach w dziedzinie zbrojeń).

Faktycznie nastąpił godny uwagi postęp, ale jednocześnie przyniósł z sobą konsekwencje, których poprzednie pokolenia nie były w stanie przewidzieć.

KRYZYS POSTĘPU

Pierwszą drobnostką, którą przeoczyliśmy i dopiero niedawno dostrzegliśmy, jest fakt, że nieograniczony Postęp nie może odbywać się w ograniczonym w końcu środowisku Ziemi; że przyroda oczekuje od nas nie ujarzmienia, a wsparcia; że wreszcie daną nam przyrodę my sukcesywnie p o ż e r a m y. (Dzięki Bogu, już podniesiono alarm, szczególnie w krajach rozwiniętych, gdzie podjęto środki zaradcze, choć wciąż jeszcze niewystarczające. Jednym z bardziej pozytywnych skutków upadku komunizmu jest rozpad tak kuszącego dla wielu krajów modelu utopijnej gospodarki, opartej na najbardziej lekkomyślnym i rozrzutnym rachunku ekonomicznym).

Drugim błędem okazał się fakt, że wbrew temu, co nam obiecano, nasze obyczaje bynajmniej nie złagodniały wraz z Postępem. Nie wzięto bowiem pod uwagę jednego szczegółu: ludzkiej duszy.

Pozwoliliśmy naszym zachciankom bez końca tak rosnąć, że dziś gubimy nad nimi kontrolę. Wraz z usłużną pomocą różnych firm handlowych ujawniają się coraz to rzekomo nowe i całkowicie słuszne nasze zapotrzebowania. A my masowo za nimi gonimy, nie znajdując zaspokojenia. I nigdy go nie uzyskamy.

Zgromadzić, zgromadzić wszelkie dobra! Ale i to nigdy nie nastąpi. Zrozumieli to już dawno przewidujący ludzie: dobra materialne powinny podlegać innym, wyższym celom, powinny posiadać duchowe odniesienie i mieć swoje zadanie. Inaczej – jak zauważył Mikołaj Bierdiajew – spowodują spustoszenie w ludzkim życiu, stając się narzędziem chciwości i wyzysku.

Ludzie cywilizacji zachodniej odkryli wielkie możliwości dynamicznego transportu. Ale i bez tego współczesny człowiek, dzięki obiektywowi kamer i telewizji, niemal nie ruszając się z domu, współuczestniczy we wszystkim, co się dzieje na naszej planecie. Okazuje się jednak, że od owego gorączkowego tempa technologicznego Postępu oraz bezmiaru powierzchownych informacji i tanich widowisk dusza ludzka bynajmniej nie rośnie, a raczej karłowacieje, a życie duchowe zamiera. Równocześnie blednie i marnieje nasza kultura, jakby zalewem nowoczesności chciała przekrzyczeć swój upadek. Im większy komfort życia przeciętnego człowieka, tym mniejszy rozwój duchowy. W ten sposób powstaje przesycenie i ogarnia człowieka dławiąca nuda, która w wirze przyjemności nie znajduje satysfakcji, aż stanie się nie do zniesienia.

Nie, nie możemy całej nadziei pokładać w nauce, technologii i wzroście ekonomicznym. Zwycięska cywilizacja technologiczna wpoiła w nas także duchową niepewność. Jej osiągnięcia są dla nas nie tylko błogosławieństwem, ale i zagrożeniem. Wszystko staje się i n t e r e s e m; nie wolno zaniedbywać interesów, trzeba walczyć o dobra materialne. Ale przeczucie podpowiada nam, że coś stracono – coś czystego, wielkiego, a zarazem delikatnego. Przestaliśmy dostrzegać c e l.

Przyznajmy się, choćby tylko szeptem i przed samymi sobą: wobec tego zabieganego i zabójczego tempa życia – p o c o żyjemy?

POZOSTAJĄ ODWIECZNE PYTANIA

Nic ani nikt nie powstrzyma Postępu, ale właśnie od nas zależy, by wreszcie przestać pojmować go jako strumień nie kończących się dobrodziejstw, a zacząć go widzieć raczej jako dar nam zadany i będący niezwykłym sprawdzianem dla naszej woli.

Na przykład takie dobrodziejstwa, jak telefon czy telewizor używane ponad miarę zburzyły spójność naszego czasu, wytrąciły nas z naturalnego rytmu życia. Jedną z konsekwencji możności przedłużania średniej długości ludzkiego życia jest dziś uczynienie starszego pokolenia ciężarem dla własnych dzieci, częste skazywanie starców na samotność i opuszczenie przez bliskich oraz pozbawienie ich szczęścia płynącego z faktu dzielenia się swoimi doświadczeniami z najmłodszymi.

Również więzi „poziome" między ludźmi ulegają rozbiciu. Wraz z natężeniem życia politycznego i społecznego między ludźmi zajętymi swoimi przy-

ziemnymi sprawami narasta wyobcowanie i niewrażliwość na problemy innych, prowadząc w końcu do zupełnego osamotnienia. (To tu się zrodził i zawył z rozpaczy egzystencjalizm).

Nie możemy mechanicznie poddać się strumieniowi Postępu. Raczej musimy się starać o jego duchowe przeobrażenie – dla nas samych. Szukać dróg (czy też pogłębiać już odnalezione) takiego przeobrażenia, aby nie stać się zabawką Postępu, lecz aby go nakierować ku prawdziwemu pomnażaniu dobra.

Postęp był pojmowany jako wektor wyraźny i jednoznaczny, a okazał się skomplikowaną łamaną krzywą, doprowadzając nas znów do odwiecznych pytań. Człowiek stawał już przed nimi wcześniej, tyle że wówczas chcąc im sprostać nie był ani tak rozproszony, ani tak porzucony jak my dziś.

Zatraciliśmy gdzieś w sobie harmonię, która była w nas od stworzenia, harmonię między czynnikiem duchowym i cielesnym naszej natury. Straciliśmy jasność duszy, cechującą nas zanim pojęcia Dobra i Zła zostały ośmieszone i zastąpione przez zasadę rozsądnego kompromisu.

Nic tak nie obnaża naszej dzisiejszej duchowej bezsilności i intelektualnego zamętu, jak zatracenie jasnego i spokojnego stosunku do ś m i e r c i. Im większy dobrobyt, tym silniej duszę współczesnego człowieka przenika strach przed śmiercią. Takie nienasycenie, hałaśliwie i pospiesznie przeżywane życie, doprowadziło w końcu do lęku przed śmiercią, którego nie znali nasi przodkowie. Człowiek utracił doświadczenie samego siebie jako ograniczonego, choć obdarzonego wolą małego punktu we Wszechświecie. Zaczął uważać siebie za centrum wszystkiego, co go otacza, nie siebie dostosowując do świata, ale świat do siebie. Wtedy oczywiście myśl o śmierci staje się nie do zniesienia: przecież to katastrofa całego świata w jednej chwili.

Odrzuciwszy istnienie niezmiennej Wyższej Siły ponad nami, zapełniliśmy tę wolną przestrzeń własnymi nakazami, i nagle życie stało się czymś strasznym.

PO ZIMNEJ WOJNIE

Środek XX wieku minął nam pod znakiem chmury nuklearnego zagrożenia – niebezpieczeństwa przekraczającego wszelkie wyobrażenia. To zagrożenie zdawało się przesłaniać wszystkie niedostatki naszego życia: wszystko inne stało się nieistotne, wszystko i tak będzie unicestwione – więc żyj jak chcesz. To właśnie ta Wielka Groźba przyczyniła się tak do wstrzymania rozwoju ludzkiego ducha, jak i odsunięcia wszelkiej refleksji nad sensem życia.

Paradoksalnie jednak właśnie to niebezpieczeństwo wytworzyło w społeczeństwie zachodnim pewne tymczasowe jednoczące poczucie istnienia: wzmocnić się i przeciwstawić śmiertelnemu zagrożeniu – komunizmowi. Nie można dziś powiedzieć, jakoby wszyscy na Zachodzie to zagrożenie do końca przyjmowali

i w równym stopniu się nim przejmowali – byli i tacy, którzy lekkomyślnie podważali zachodnie stanowisko. Jednak przewaga w rządach ludzi odpowiedzialnych ocaliła i sam Zachód i pozwoliła wygrać batalię o Berlin, Koreę oraz uchronić od klęski Grecję i Portugalię. (Wszak były to czasy, kiedy przywódcy komunistyczni mogli zdecydować się na ostateczny cios, na który z pewnością nie byłoby równie zdecydowanej odpowiedzi w postaci ataku nuklearnego. I zapewne tylko hedonizm tych zniedołężniałych starczych przywódców sprawił, że wciąż odkładano te zamysły, aż wreszcie prezydent Reagan oddalił ostatecznie groźbę, inicjując taką eskalację zbrojeń, której przeciwnik już nie sprostał.)

I oto nagle pod koniec XX wieku doszło do fenomenu, który był długo wyglądany przez wielu moich rodaków, a zaskoczył wielu ludzi na Zachodzie: przywalony własną wewnętrzną niespójnością i drążony zepsuciem komunizm legł w gruzach. Rozpadł się w nieprawdopodobnym tempie jednocześnie w dziesięciu krajach na raz. W ten sposób niemal w jednej chwili zagrożenie nuklearne przestało istnieć.

I cóż dzieje się później? Nastąpiło kilka krótkich miesięcy radosnej ulgi (choć niektórzy opłakiwali śmierć tej doczesnej ziemskiej Utopii, owego socjalistycznego raju na Ziemi). Uniesienie przeminęło, ale ani na trochę nie przybyło naszej planecie spokoju, wręcz przeciwnie: to tu, to tam jakby częściej wybuchają konflikty – już nawet nie starcza wojsk ONZ dla ich zdławienia.

Przy tym wszystkim także na terytorium byłego ZSRR jest jeszcze daleko do całkowitego zniknięcia komunizmu. W niektórych republikach przetrwały jego instytucjonalne struktury, we wszystkich zaś pozostały milionowe rzesze komunistów oraz nie zmieniona mentalność i styl życia ludzi. Równocześnie po latach narodowej udręki ujawniają się nowe, bolesne rany. Na przykład dzikiemu, nieproduktywnemu kapitalizmowi towarzyszą odrażające obrazy zachowań i przywłaszczanie majątku narodowego w skali nie spotykanej na Zachodzie. Wszystko to zaś prowadzi do niekontrolowanej tęsknoty za minioną równością – „równością w biedzie".

Mimo że runął ziemski ideał socjalizmu-komunizmu, ostały się jednak pytania, na które ustrój ten rzekomo odpowiadał: niegodziwość w operowaniu środkami socjalnymi oraz nie oszacowana siła pieniądza, często determinująca bieg wypadków. Jeśli więc lekcja XX wieku dla całego świata nie podziała na zasadzie szczepionki ochronnej, „czerwony wiatr" może powrócić.

Zimna wojna skończyła się, ale problemy współczesnego człowieka jawią się dziś jako o wiele bardziej złożone, niż to wyznaczała dotychczasowa dwubiegunowa scena polityczna. Tym wyraźniej też ujawnił się kryzys sensu życia, dawna pustka duchowa została pogłębiona przez ostatnie dziesięciolecia zagrożenia nuklearnego. Lecz dziś tym bardziej musimy odpowiedzieć na wciąż aktualne i powracające pytanie: dokąd zmierzamy?

U PROGU XXI WIEKU

Oto właśnie zbliżamy się do granicy wieków, a nawet i tysiącleci. Już tylko osiem lat dzieli nas od tej doniosłej chwili (która nb. z powodu naszej niecierpliwości zostanie ogłoszona rok wcześniej, bez czekania na rok 2001). Któż z nas nie chciałby przeżyć tego radosnego momentu w duchu uniesienia i nadziei? Wszak wielu z nas witało wiek XX jako wiek wyzwolonego rozumu, nie wyobrażając sobie okropności ludobójstwa, jakie on nam szykuje. Wydaje się, że jedynie Dostojewski na długo przedtem przewidział zagrażający ludzkości totalitaryzm.

Wiek XX nie był świadkiem moralnego rozwoju człowieka. Wręcz przeciwnie: na nie spotykaną dotychczas skalę prowadzone były akcje eksterminacyjne, upadła kultura, zamierało życie duchowe. (Choć, trzeba to stwierdzić, już wiek XIX się do tego przyczynił). Na jakiej więc podstawie oczekujemy, że wiek XXI, naszpikowany gdzie tylko to możliwe w najnowocześniejszą broń, będzie dla nas łaskawszy?

Do tego jeszcze dochodzi dewastacja przyrody oraz globalna eksplozja demograficzna. A także kolosalny problem Trzeciego Świata, wciąż tak nazywanego wskutek niesłusznego uogólnienia. Obejmuje on dziś cztery piąte całej ludzkości, a wkrótce będzie stanowić już pięć szóstych, stając się tym samym najważniejszym podmiotem XXI stulecia. Ginąc w biedzie i nędzy – nie należy w to wątpić – rychło wystąpi z rosnącymi roszczeniami pod adresem państw rozwiniętych. (Idee te były już znane u zarania sowieckiego komunizmu. W 1921 roku na przykład – o czym mało kto wie – tatarski nacjonalista i komunista Sułtan Galijew nawoływał do utworzenia międzynarodówki kolonialnych i półkolonialnych państw oraz do ustanowienia jej dyktatury nad krajami rozwiniętymi przemysłowo). Wobec rosnącego zalewu uchodźców, przekraczających wszystkie europejskie granice, trudno jest dziś Zachodowi nie uznać siebie za oblężoną, choć tymczasowo bezpieczną, twierdzę. W przyszłości zaś narastający kryzys ekologiczny może zmienić strefy klimatyczne, czego skutkiem będzie brak pitnej wody i żyznej ziemi tam, gdzie niegdyś było jej pod dostatkiem, co z kolei może doprowadzić do wybuchu nowych groźnych konfliktów na naszej planecie, wręcz do wojny na śmierć i życie.

Tu więc wyrasta przed Zachodem zadanie kompleksowego zrównoważenia tej sytuacji: zadanie zachowania cennej różnorodności kultur świata i ich różnego w sposobach poszukiwania rozwiązań problemów społecznych, przy jednoczesnym przywiązaniu do własnej kultury, rozwijanej z takim wysiłkiem, jedynej w swoim rodzaju w dziejach, do stabilności obwarowanej prawami i gwarantującej wolność i przestrzeń dla każdego obywatela.

SAMOOGRANICZENIE

W sposób nieuniknicny nadchodzi ostatecznie czas, by położyć tamę naszym zachciankom. Nadchodzi czas samoograniczenia. Trudno zdecydować się na samoograniczenie i ofiary. Trudno także dlatego, że zarówno w życiu prywatnym, jak i publicznym, a nawet państwowym, dawno już wyrzuciliśmy do oceanu złoty klucz samoograniczenia. A przecież samoograniczenie jest podstawowym i najbardziej rozumnym krokiem człowieka, który stał się panem swej wolności. Jest ono również najpewniejszym sposobem jej odzyskania. Nie wolno nam biernie czekać, aż wydarzenia zewnętrzne zdecydowanie wpłyną na nasze działanie lub je wręcz zdeterminują. Trzeba natomiast – poprzez roztropne samoograniczenie – nauczyć się odkrywać sens w pewnych nieuniknionych wydarzeniach.

Jedynie naszemu sumieniu i naszym bliskim znane są przykłady tego, w jaki sposób uchylamy się od takiego roztropnego stylu życia. Przykłady zaś takiego uchylania się przez partie czy państwa dostrzegane są już przez wszystkich.

Gdy wreszcie dochodzi do konferencji z udziałem przedstawicieli niemal wszystkich państw świata, poświęconej zbliżającej się szybko i nieuchronnie katastrofie ekologicznej, wówczas jedno z tych mocarstw, mające dostęp do niemal połowy zasobów ziemskich, a także emitujące połowę wszystkich zanieczyszczeń, w imię swoich bieżących interesów występuje z żądaniem, by złagodzić warunki umowy międzynarodowej, zupełnie jakby wraz z innymi nie dzieliło tego świata. A z kolei inne równie potężne państwa uchylają się od wypełnienia nawet tych złagodzonych warunków. Oto w jaki sposób w tym całym wyścigu ekonomicznym unicestwiamy samych siebie.

Podobnie rozpad ZSRR w zafałszowanych, ustalonych przez Lenina granicach dostarcza uderzających przykładów, jak nowo powstałe państwa dążą do zagarnięcia rozległych terytoriów, często obcych im historycznie i etnicznie, na których zamieszkują dziesiątki tysięcy czy wręcz miliony ludzi obcej narodowości, nie przewidując konsekwencji takiego postępowania. Wszak taka zachłanność nigdy nie przynosi nic dobrego.

Oczywiście przeniesienie zasady samoograniczenia na społeczeństwa, grupy zawodowe, partie czy całe państwa przynosi więcej trudnych pytań niż odpowiedzi na nie. Wszelkie związane z tym konieczne ofiary czy wyrzeczenia mogą odbyć się jedynie kosztem wielu ludzi, którzy ani nie są do tego gotowi, ani wręcz nie mogą się na nie zgodzić. (Nawet już proste osobiste samoograniczenie potrzeb potencjalnego konsumenta odbije się w pewien sposób na przedsiębiorcach).

Jeśli jednak my, ludzie, sami nie przyzwyczaimy się stawiać twardych granic naszym potrzebom i zachciankom i podporządkowywać sfery interesów kryteriom moralnym, to wydamy wyrok na samych siebie, ujawniając najgorsze strony naszej natury.

Nie jeden już raz różni myśliciele, choćby dwudziestowieczny rosyjski filozof Nikołaj Łassow, wskazywali, że jeśli osobowość nie jest nakierowana na wartości wyższe, to staje się przedmiotem korupcji i zepsucia. Czy też – jeśli wolno mi podzielić się swoim własnym spostrzeżeniem – że prawdziwej duchowej satysfakcji doznajemy nie w zdobywaniu, lecz w rezygnacji. Czyli – w samoograniczeniu.

Dziś wydaje się to nam nie do przyjęcia, jako coś krępującego, wręcz odpychającego, ponieważ w ciągu wieków odzwyczailiśmy się od tego, co było nawykiem dla naszych przodków, którzy w większym stopniu doznawali ograniczeń zewnętrznych i własnej niemożności. Szczególny sens samoograniczenia ujawnił się ludzkości dopiero w naszym wieku. Dopiero biorąc pod uwagę różne wzajemne odniesienia obecne we współczesnym życiu, widzimy jasno, że jedynie przez samokontrolę jesteśmy w stanie – choć nie bez trudności – stopniowo uleczyć zarówno ekonomię, jak i politykę.

Niewielu jest dziś takich, którzy przyjmą tę zasadę za swoją dewizę. Jednak mimo to w skomplikowanych warunkach współczesności ograniczanie się jest jedyną drogą ocalenia nas wszystkich.

To pomoże nam również przywrócić świadomość Absolutu ponad nami, przede wszystkim zaś zatracone poczucie pokory wobec Niego.

Postęp? Tak, ale tylko jeden jedyny: postęp jako suma duchowego wzrostu każdego z ludzi, jako stopień samodoskonalenia w ciągu całego życia.

Nie tak dawno karmiono nas naiwną baśnią o możliwym szczęśliwym „końcu historii" i o wszechogarniającym triumfie demokratycznego błogosławieństwa, jakbyśmy mieli osiągnąć już ostateczną i optymalną formę światowego ładu.

Lecz przecież wszyscy to widzimy i przeczuwamy coś wręcz innego, być może bardzo groźnego. Nie, to niemożliwe, by spokój na naszej planecie zapanował w tak prosty sposób i by tak po prostu został nam podarowany.

Ostatecznie jednak nie na próżno przeżyliśmy wszystko, co podarował nam XX wiek. Trzeba mieć nadzieję: zostaliśmy wzbogaceni o trudne doświadczenie, a jego bolesna prawda zaowocuje w następnych pokoleniach.

Tłum. *Dorota Chabrajska i Mirosława Ritter*